Ner 21. Kraków, dnia 1go Listopada 1872. Rok IV.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca. — Zagroda kosztuje rocznie Zł. 3 w. a., półrocznie Zł. 1 cent. 50, kwartalnie cent. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie Zł. 4 cent. 60, półrocznie Zł. 2 cent. 30, kwartalnie Zł. 1 centów 15.
(Zagroda wychodzi 8 i 24 każdego miesiąca.)

Ogłoszenia przyjmuje się po 4 centy od wiérsza, z dopłatą 30 centów na stempel. — Listy lub przekazy pocztowe należy przesyłać pod adresem: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.

W Państwie pruskiem przyjmuje przedpłatę nasza Ajencya: Księgarnia F. H. Richtera w Poznaniu, dokąd wszyscy panowie Prenumeratorowie w Prusach zamieszkali, przedpłaty odsyłać zechcą. — W księstwie Poznańskiem i w Prusach kosztuje rocznie „Zagroda“ 2 talary. — „Zagroda“ i „Włoscianin“ razem rocznie 3 talary,— półrocznie 1 talar 15 sgr.— kwartalnie 22 i pół sgr.

Jak było w Polsce od r. 1572 do r. 1586?

(Ciąg dalszy.)

Po ucieczce Henryka, znowu nastało bezkrólewie, znowu to ten, to ów monarcha wysyła posłów do Polski, obiecując złote góry, aby swego syna lub krewniaka mógł na tron osadzić. Szlachta jedni za tym, drudzy za innym trzymają, kłócą się, szachrują, a tym samem o ścianę na Wołoszczyźnie wojna, do której się polscy panowie mieszają. Sułtana tureckiego to gniewa, gdyż chce aby Wołochy, jak było dotąd, nie Polsce, ale jemu hołdowały; i cała ta zawierucha kończy się na tem, że Tatarzy wpadają na Ruś i zabierają w niewolę 20 tysięcy naszego ludu.

Kiedy tak Tatarzy pędzą naszych braci, jak bydło, na swoje stepy, u nas wszyscy głusi na płacze i narzekanie ludu, wciąż swarzą się, kogo tu obrać. Było wielu, co im się chciało królować; najwięcej jednak miał głosów za sobą syn cesarza Austryackiego i Stefan Batory, wojewoda czyli książe Siedmiogrodu, należącego do Węgier. Familia jednakże Zborowskich, będąca bardzo potężną w wojsko i mająca licznych przyjaciół między szlachtą, chciała ogłosić Stefana Batorego; a to przez wdzięczność dla tego księcia, albowiem Samuel Zborowski, co to, jak już sobie przypominacie, był wygnany za zabicie Waszewskiego, przechowywał się u Batorego, który go gościnnie przyjął na swoim dworze. Zeby zaś wszystkim dogodzić, a mianowicie Litwizom, ogłoszono królową Annę Jagiellonkę, siostrę rodzoną Zygmunta Augusta, starą już pannę, ale bardzo cnotliwą, miłosierną, pobożną, przeznaczając jej za małżonka Batorego. Jak zwykle w takim przypadku bywało, posłowie siedmiogrodzcy przysięgli w imieniu swego pana, a pakta konwenta, przyrzekli, że Stefan niebawem do Polski przyjedzie.

Jakoż przybył spiesznie Batory a z nim razem i Samuel Zborowski, mając przy sobie kilkaset jazdy. Nowego króla koronowano zwykłym obyczajem w Krakowie, gdzie razem ożeniono go z Anną Jagiellonką. Małżonka choć tak zacna niewiasta, zapewne się królowi niepodobała bardzo; miała bowiem w tedy lat 52, a on 42 ale darmo! tak się narodowi podobało; musiał się żenić, rad nie rad, jak to często bywa u wielkich panów.

Król Stefan że nieznał jeszcze naszego kraju i naszych obyczajów, będąc cudzoziemcem, upodobał sobie Jana Zamojskiego, którego o radę pytał; jakoż nie mógł lepiej trafić, gdyż to był człek bardzo uczony i wielki wojownik. Już to samo pokazuje, że Stefan miał rozum bystry, kiedy sobie odrazu wybrał nie pochlebcę, nie dworaka, ale, że tak powiem, perłę narodu Polskiego. Byli też odtąd ze sobą nie jak monarcha z poddanym; ale jak przyjaciel z przyjacielem.

Kiedy wszystkie części Polski uznały królem Stefana, jedno tylko miasto Gdańsk zbuntowało się przeciw nowemu panu. Posłane jednak przeciwko niemu wojsko, dobrze im utarło nosa; i przymusiło do proszenia o łaskę. Do-

bry król przebaczył im zuchwałość, jednak musieli zapłacić koszta wojny i klasztór Oliwę, w bliskości Gdańska leżący, który zburzyli, naprawić. Od tego też czasu poszło przysłowie, kiedy kto słaby porwie się na mocnego, że: rozgniewał się, jak burmistrz Gdański na Polskiego króla.

Ta wojna byłaby się dłużej ciągnęła i Gdańszczanie dostaliby może surową naukę, ale car moskiewski, Iwan Okrutny, wpadł był do Inflant, gdzie prawie nic wojska nie było. Pozdobywał też bardzo łatwo różne zamki, a gdzie kogo zastał, zabijał i mordował, jak to było jego zwyczajem. Lecz kiedy przyszedł pod miasto Kiessę, mieszkańcy ze strachu pozamykali bramy przed nim. Królewicz Duński Magnus spokrewniony z Carem, zaczął go prosić, aby miał miłosierdzie nad biednym ludem; ale ów dał mu pięścią w gębę, co widząc mieszkańce, jeszcze się bardziej przelękli. Kobiety zaś, zebrawszy się do kupy, z bojaźni, aby ich car nie dał na pastwę moskalom swoim, zabijały się nawzajem nożami, a inne podkładały proch pod domy, gdzie się zeszły, zapaliły je, i tak wyleciały w powietrze, przenosząc śmierć nad hańbę. Dużo jeszcze Moskal dokazywał, myśląc, że mu to tak ujdzie, jak za Zygmunta Augusta; ale Batory miał ostre zęby, niedał sobie, jak to mówią, pluć w kaszę, zatem zaraz sejm zwołał do Warszawy i Mikołaja Radziwiłła posłał z litewskim wojskiem na cara. Na tym to sejmie, dla prowadzenia tej wojny, postanowiono podatki, ale że je szlachta stanowiła, przeto podatki rozłożono na kmieci, i mieszczan, a szlachta nic nie dawała. Było to wielką niesprawiedliwością zwalać cały ciężar na tych, co w pocie czoła na szlachtę pracowali, i byli sami ubodzy.

Na tym sejmie obmyślił Batory, jakby zabezpieczyć się dobrze od napaści tureckich a szczególniej tatarskich. Tym sposobem postanowił i zaprowadził porządek między kozakami. Gdyżcie jeszcze nic nie słyszeli odemnie, co to byli za ludzie ci Kozacy, przeto opowiem wam o nich w krótkości.

Po obu stronach rzeki Dniepru, co wpada do morza Czarnego, są ogromne stepy, czyli kraj bez żadnego drzewka a tylko na nim wyschła trawa rośnie; mało tam gzie ludzie mieszkali, dla tego, że przez te stepy przechodzili zawsze Tatarzy na Ruś czy na Polskę i zwykle w drodze wszystko niszczyli i zabijali. Jednakże na tym Dnieprze znajdują się ostrowy czyli wyspy; otóż na tych wyspach, porosłych trawą i trzcinami, oddawna rządzili ludzie, trudniący się rozbojem, dla tego, że nie pomyśleli sobie o inszym sposobie do życia. Byli to po większej części, zbiegowie z różnych narodów, jak Rusini, Litwini, Polacy, Wołosi, Turcy, Węgrzy i inni, który przeskrobawszy co w domu, a bojąc się kary tamże uciekli. Tym właśnie sposobem, powstał dosyć silny lud zwany Kozakami, który nieraz dobrze się zasłużył Polsce, ale też nieraz sprowadził na nią nie mało kłopotu.

O tem, czem się ci Kozacy zajmowali i jak żyli pomiędzy sobą, pomówimy w przyszłym numerze „Włościanina.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W dzień zaduszny.

Pomnę, jak dzisiaj, choć to już temu kilkanaście lat minęło, ale bo któż nie pamięta tego co robił za lat młodych, wtedy gdy miał około lat trzynastu lub czternastu? Człowiek, chudzina, wtedy zazwyczaj szczęśliwy — kiedy się nim rodzice lub krewni opiekują, a za to jedynie każą mu robić w domu lub się uczyć w szkole, albo przy warsztacie. Ale później.... oj, co to człek naprzechodzi różnych dolegliwości, zanim zdobędzie dla siebie kawałek chleba, — to na wołowej skórze tego nie spisać. Lecz mniejsza z tem — choć to zwyczajna kolej na świecie, więc choć człowiek coś niecierpi w późniejszem życiu, zawsze jednak mile wspomina to co robił albo słyszał za młodu. Pozwólcie przeto i mnie, że wam opowiem małą historyjkę z mojej młodości.

Miałem wtedy lat trzynaście, kiedym był w szkołach w klasie drugiej, a mój brat Ignacy w dwunastym roku życia w pierwszej klasie. Ojciec mój nieboszczyk, świeć panie duszy jego, posprawiał nam ładne mundurki i umieścił w miasteczku Sieradzu na stancyi u pani Siwińskiej. Poczciwa to była pani — ale nas też pilnowała jak oka w głowie, nie mogliśmy bez jej opieki i kroku wybiedz na miasto, to też gdy się zbliżały jakie święta, wyglądaliśmy ich jak zbawienia, bo zazwyczaj ojciec przyjeżdżał i zabierał nas ze sobą do rodzinnej wioski. Każda więc okazja podobna była dla nas szczęściem niedoopisania. Na wsi wszystko inaczej, człowiek tęskni do niej, bo do rodzinnego gniazda, bo tam ubawi się do woli, nacieszy krewnymi, figielków napłata, ba — a ile się to na koniku wyhasa!

Nadeszła właśnie uroczystość wszystkich świętych, ojciec swoim zwyczajem przyjechał po nas — my łap, cap za ubranie, żegnamy się co żywo z panią Siwińską z kolegami i znajomymi, i niezadługo jesteśmy w drodze ku domowi. Jadąc gawędzimy to o tem, to o owem, cieszymy się widokami wiosek, pól i lasów, ojciec nam opowiada przeróżne historye, a my jemu znów mówimy o naszych nauczycielach o szkole, i o naszych figlach, — i ledwośmy się spostrzegli, gdy wózek stanął przed ładnym modrzewiowym dworkiem we wsi Wygiełzowie, w którym mieszkał nasz wujaszek Antoni. Zsiadłszy z wozu i poprawiwszy czupryn, wchodzimy do gościnnego pokoju w którym oprócz pięknych mebli i ładnego kaflowego pieca nie było żywej duszy. Wreszcie otwarły się drzwi drugiego pokoju, z których wyszła jakaś pani nam nieznajoma.



— Przepraszam pannę, rzecze ojciec do niej, czy nie zastaliśmy państwa Antonich?

— Nie panie, wyjechali do miasta, odrzekła uprzejmie.

— Jakaż to szkoda, rzecze ojciec, przyjechałem do nich w odwiedziny z synami, których wiozę ze szkół, jestem ich krewnym.

— Nic to nie szkodzi, proszę uprzejmie, niech państwo będą łaskawi się rozgościć, jakby państwo Antoniowie byli w domu, oni jutro przyjadą, my tymczasem zabawimy się sami.

Wracać nie podobna było, bo i wieczór zapasem a do domu mil kilka było, usłuchaliśmy więc prośby, i niezadługo zasiedliśmy u jednego stołu. Pani Józefowa była uprzejmą i bardzo rozmowną, więceśmy gawędzili wiele o przeróżnych rzeczach.

— Co to tak dzwonią? zapytałem brata.

— Ja nie wiem.

— To dzwonią na nieszpory, rzecze pani Józefowa, ponieważ to dzisiaj dzień zaduszny, o mój Boże niejedna tam dzisiaj duszyczka wygląda pomocy od swoich krewnych.

— Jakto wygląda pomocy od swoich krewnych? zapyta brat Ignacy.

— Czy to nie wiesz o tem Ignasiu, odpowie ojciec, że tego dnia dają liczne jałmużny i wypominają dusze zmarłych krewnych i przyjaciół?

— Nie widziałem wcale.

— Ha, ha, ha, a to mi uczeń, dodała pani Józefowa, żeby tego nie wiedzieć.

— Jesteś młodym chłopcze, ozwał się ojciec, więc nie dziw, że nie wiesz, posłuchaj więc a ja ci opowiem. Zwyczaj modlenia się za dusze zmarłych przyjaciół i krewnych — od najdawniejszych czasów istnieje u nas. W czasach kiedy nasi przodkowie byli jeszcze poganami, to jest, kiedy nie wierzyli w jednego Boga, ale kłaniali się różnym bogom przez siebie zrobionym, wierzyli nawet wtedy, że życie człowieka nie kończy się na ziemi, że czeka nas życie przyszłe, dobre lub złe stósownie do naszych uczynków, — wierzyli w to również, że modlitwy i prośby za niemi do bogów sprawiają ulgę nieboszczykom. Z tego też powodu rok rocznie wybierali jeden stały dzień w którym modlili się i robili ofiary za dusze zmarłych. Było to święto uroczyste naszych przodków pogan, a nazywali je n. p. *dziady*, *haftury* itp. Prócz modłów zapalali oni ogień na cześć bogów i dawali jałmużny ubogim, a nawet stawiali strawy na grobach zmarłym, w nadziei, że się niemi pokrzepią. Tym nieco sposobem obchodzili nasi przodkowie poganie uroczystość dziadów, hawtur itp.

— Czyby to ojcze,... zapytałem ciekawie.

— Poczekajno, poczekaj — zaraz ci opo-

wiem, rzecze ojciec, Tak się modlili nasi przodkowie za umarłych — był to piękny sposób przechowywania pamięci zmarłych a miłych nam osób — w tym dniu bowiem jedynie żywi połączyli się myślą i sercem ze zmarłymi. To też gdy do nas została wprowadzona religia chrześciańska kalolicka r. 969 po narodzeniu Chrystusa, a więc blisko tysiąc lat temu, kościół święty zostawił ten obrządek, nadawszy mu tylko cechy chrześciańskie. I tak: przodkowie nasi palili ognie na grobach zmarłych, my palimy świeczki — oni się modlili za dusze zmarłych, i my się modlimy, oni dawali jałmużny i my dajemy. My tutaj w tym się tylko od nich różnimy, że modlimy się do jednego Boga na niebie, kiedy oni modlili się do wielu Bogów, nie kładziemy na grobie pokarmów, jak oni, ponieważ wiemy, że dusze zmarłych nie potrzebują naszej strawy, nie nazywamy tej uroczystości Dziadami, hawturami itp. ale uroczystością Wszystkich świętych i dni zadusznych. Ot i w tem leży różnica. Przyznacie, że nie wielka, i przyznacie również że nasze naddziady miały piękne nauki, kiedy je święta nasza wiara przyjęła i uświęciła, nadając im pewne tylko katolickie znamiona.

Słuchaliśmy wszyscy z chciwością słów ojca — bo co prawda, to nam się ani nie śniło o tem. Niedługo podano wieczerzę, która nam nadzwyczaj smakowała. Przy wieczerzy, ja zaciekawiony strasznie, zapytałem ojca,

— Proszę ojca, czy to prawda, że w nocy w dzień zaduszny to wszystkie dusze zbierają się do kościoła swojej parafii, i tam odprawiają nabożeństwo, grają na organach, dzwonią, jeno my tego nie słyszymy — a gdyby kto zakradł się wtedy do kościoła, to owe duszyczki rozszarpią go na kawałki, że nawet już były takie przypadki na świecie?

— Kto ci to powiedział? ozwie się ojciec.

— O, ja już dawno o tem słyszałem, jeszcze byłem małym bardzo, a już mi ludzie to opowiadali.

— I ja to słyszałem, doda Ignaś, to też za to nieposzedłbym do kościoła w nocy w dzień zaduszny.

— Że to prawda, to nie podlega żadnej wątpliwości, wtrąciła pani Józefowa.

Ojciec popatrzył się na nas ze zdziwieniem, w końcu rzecze:

— Nie myślałem nigdy, żebyście państwo wierzyli w takie brednie,

— Jakto brednie? przerwie pani Józefowa, toć mi mój dziadek jeszcze o tem opowiadał.

— Stara to historya, jak świat ozwie się ojciec, starsza może nawet niż dzień zaduszny. W czasach kiedy ludzie wyobrażali sobie, że dusze zmarłych pokutują tu na ziemi, że żyją między nami, powstała i baśń owa, że dusze modlą się w świątyni w pewny dzień roku, a że każda taka przypowiastka długo zazwyczaj trwa między ludźmi, więc i baśń, jakoby dusze zbierały się na modlitwy w dzień zaduszny do kościoła, przetrwała aż do naszych czasów. Ludzie oświeceni w to nie wierzą czego niema na świecie, ale ludziom ciemnym, to i pałką tego nie wybijesz z głowy. Jak was kocham — nie ma tego na świecie.

Tu mi się oczy zaiskrzyły jak pochodnie, wszyscy aż spojrzeli na mnie a ja myślę sobie.

— Dobrze by to się przekonać o tem.

Po wieczerzy wybraliśmy się na nieszpór i procesyę. W czasie procesyi odłączyłem się od wszystkich i dalejże do kościoła, gdzie schowałem się za ławkami. Niedługo powychodzili wszyscy z kościoła, zamknięto drzwi, i ciemność opanowała świątynie; zrazu, strach mnie ogarnął, na myśl, że mogę się spotkać oko w oko z duchami, ale później i strach ominął, a ja postanowiłem czekać co dalej będzie. Minęła godzina, dwie, trzy, cztery, a duchów jak nie widać tak nie widać. Nareszcie, świtać zaczęło na dobre — a nieupłynęło od tej pory dwóch godzin, gdy kościelny otworzył kościół i zaczął go zamiatać.

— Ha myślę sobie, toć to nie duch przecie — więc mogę iść do domu.

Nie wiele myśląc wybiegłem z kościoła, a za chwilę byłem już w pokoju, w którym spał mój ojciec i Ignaś. Gdym wszedł, ojciec się już ubierał, a zobaczywszy mnie zawoła.

— A gdzieżeś to był hultaju, nic dobrego, myśmy cię prawie całą noc szukali, o poczekajno, poczękaj.

— Niech się ojciec na mnie nie gniewa ja.... byłem....

— Gdzieżeś był?

— W kościele — aby się przekonać, czy duchów tam nie będzie.

Ojciec się zdumiał na moje słowa, — ale w końcu doda.

— O, hultaju, rozprawię ja się z tobą, za to, i otrzymałem pare szturchańców, ale o tem sza, uważałem bowiem, że cieszyło się ojczysko z mojej odwagi, a że mnie ukarał, to za to jedynie, iż to zrobiłem bez jego pozwolenia.

Przy śniadaniu odpowiedziałem wszystko jak było, nie chcieli wierzyć z początku, ale

później uwierzyli; a od tej pory ani ja, ani brat Ignaś, ani pani Józefowa nie wierzyli w podobne baśnie.

Niedługo po tem udaliśmy się do rodzinnego gniazda, a tam zabawiwszy półtrzecia dnia, wróciliśmy znowu do Sieradza do pani Siwińskiej, której gdy opowiedziałem moją historyę, to aż się kobiecina za głowę brała z podziwienia mojej odwagi. A koledzy, to mi odtąd spokoju nie dali, z pytaniami, com widział w kościele w dzień zaduszny; ja im zaś zwykle odpowiadałem:

— Szeroka to historya, moi drodzy, ale was zapewniam, że niema żadnych duchów w kościele w nocy dnia zadusznego.

Franek Mazur.

Czapla, ryba i rak.

(Bajka).

Czapla stara, jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła,
Na taki się koncept wzmogła.

Rzekła rybom, wy nie wiecie
A tu o was idzie przecie.
Więc wiedzieć chciały,
Czego się obawiać miały.

— Wczora
Zwieczora,

Wysłuchałam, jak rybacy
Rozmawiali: wiele pracy
Łowić wędką, lub więcieżem;
Spuśćmy staw, wszystkie zabierzem.

Nie będą mieć otuchy
Skoro staw będzie suchy.
Ryby w płacz, — a czapla na to:
— Boleję nad waszą stratą,
Lecz można złemu zaradzić,
I gdzieindziej was osadzić.
Jesttu drugi staw blizko,
Tam obierzecie siedlisko.
Chociaż pierwszy osuszą,
Z drugiego was nie ruszą.
— Więc nas przenieś, rzekły ryby.
Wzdrygała się czapla niby;

Dała się nakoniec użyć
Zaczęła służyć.

Brała jednę po drugiej w pysk, niby nieść mając,
I tak pomału zjadając,

Zachciało się pomału skosztować i raki,
Jeden z nich widząc, że go czapla niesie w krzaki,
Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił;
Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił.

Padła nieżywa:
Tak zdrajcom bywa.

I. Krasicki.

Słoń i pszczoła.

Niechaj się nigdy słaby na mocnych nie dąsa,
Zaufana w tym pszczoła, że dotkliwie kąsa,
Widząc, iż słoń ogromny na łące się pasie,
A na nią nie uważa, choć przybliżyła się;
Chciała go za to skarać. Gdy kąsać poczęła:
Cóż się stało? słoń nie czuł, — a pszczoła zginęła.

I. Krasicki.

Nauka o gruntach.

Grunta gliniaste. O piaszczystych gruntach juześmy mówili w zeszłym numerze, że zaś grunta gliniaste są u nas dosyć powszechne, więc o nich obecnie słów parę.

Grunta gliniaste zupełnie przeciwne przymioty posiadają jak grunta piaszczyste. Kiedy grunta piaszczyste są mało zlepkie, to przeciwnie gliniaste są mocno spójne i lepkie, stąd też grunt taki jest ciężki i trudny do uprawy. Kiedy grunta piaszczyste nie zatrzymują długo wody w sobie, to przeciwnie grunta gliniaste pochłoniętą wilgoć długo zachowują, a nawet z trudnością przepuszczają przez siebie deszczowe wody. Z tego też powodu, kiedy na gruntach piaszczystych w czasie suszy rośliny marnieją, wtedy zboże pięknie wzrasta na gliniastych gruntach.

Poznać łatwo grunt gliniasty, ponieważ: lepi się do rąk, narzędzi rolniczych i obuwia, po deszczach i ulewach woda się dłużéj zatrzymuje na nim i tworzy tym sposobem kałuże, które nie łatwo wsiąkają albo spływają. To téż i rośliny w skutek swéj wilgoci i wody daleko później dojrzewają, niż na gruntach piaszczystych. Kiedy ziemia piaszczysta nie może być uprawioną w czasie suszy, przeciwnie znowu grunt gliniasty nie może być uprawianym w czasie deszczowym, a to dla tego , że skiby zesychają się w bryły niby kamienie, i tym sposobem utrudniają wzrost roślin. Uprawa takiéj ziemi najwłaściwą jest w porze jesiennéj, ponieważ wtedy nie panują ni zbyteczne susze, ni wielkie deszcze, a mróz nadchodzącéj zimy bardzo dobrze wpływa na uprawę, rozdrobnienie i ulepszenie ziemi. Wprawdzie grunta gliniaste podorane na zimę, bardzo się zbiją do wiosny, należy je przeto na wiosnę odwrócić, lub zradlić i ubronować, a zasiane zboże na takiéj roli z pewnością nie chybi.

W skutek wilgoci gruntu gliniastego nawóz na niwę nie tak prędko się niszczy i zużywa jak na gruncie piaszczystym. I kiedy piaszczystą rolę potrzeba nawozić prawie co rok, to przeciwnie rola gliniasta może być nawożona co 3 lub 4 lata.

Ponieważ na gruntach gliniastych bardzo dobra udaje się pszenica, stąd też owe grunta nazywają się pszennemi. A jeżeli w takiéj roli oprócz gliny znajduje się wapno, wtedy ona jest bardzo dobrą pod jęczmień, orkisz, koniczynę, len, rzepak i owies, chociaż ten ostatni udaje się niekiedy i na ziemi piaszczystej. Jeżeli ziemia gliniasta z łatwością przepuszcza do głęb-

deszczowe wody, wtedy jéj wartość jest daleko większa od téj ziemi, która z trudnością albo wcale nie przepuszcza wody przez siebie. Zwykle w takim razie grunt staje się zimnym, a więc nie korzystnym dla roślin. Na pochyłościach grunt gliniasty jest lepszy niż na równinach, ponieważ ma lepsze ścieki. A w krajach gorących wydaje on zazwyczaj lepsze i bogatsze plony niż w krajach zimnych.

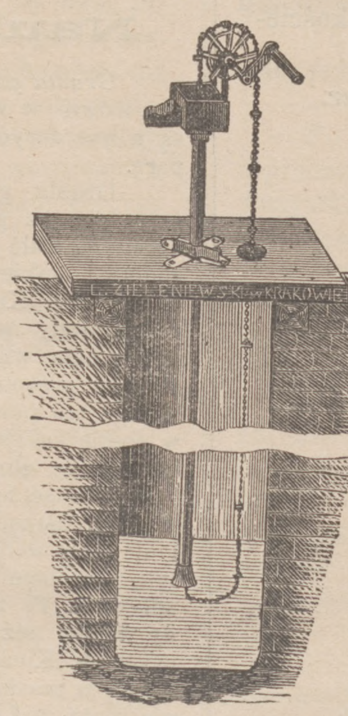
Na przyszły raz opowiemy o gruntach wapiennych i mięszanych gliniastych.

Stach od Tarnowa.

Pompa łańcuchowa.

Nie ulega wątpliwości, że studnia jest najpotrzebniejszym żywiołem w gospodarstwie, a dobrze urządzona, o wiele polepsza gospodarstwo. Czerpanie wody za pomocą zwyczajnéj **kulki**, jest trudnem i niesporem za pomocą **żórawia**, również powolnem, za pomocą znowu koła lepsze, ale dosyć kosztowne i ciężkie. Gdzie zaś wiele wody potrzeba w gospodarstwie, albo gdzie woda znajduje się głęboko, najlepiej mieć przy studni pompę łańcuchową. Na czem się ta pompa zasadza, zaraz opowiemy.

Widzicie oto na rysunku niby deskę grubą, na któréj krawędzi podpisane białemi literami: Zieleniewski; jestto przykrycie studni, pod deską znowu widzicie niby słup, u góry ciemny a na dole bielszy, jestto studnia ocembrowana kamieniami, któréj ciemniejsze miejsce oznacza pustkę, a miejsce jaśniejsze oznacza wodę. W środku studni widać niby drążek, który przechodzi przez środek nakrycia studni i wystaje na wierzch, jestto rura żelazna, która bywa zawsze przymocowaną za pomocą klamer żelaznych do nakrycia studni. Tutaj widać te klamry, jak się krzyżują ze sobą. Na wierzchu téj rury widać małą skrzyneczkę żelazną, z małą rynienką, a w tej skrzyneczce we dnie znajduje się otwór téj saméj wielkości, co i otwór owéj rury żelaznéj. Nad tą skrzyneczką znajduje się koło zębate, które się obraca za pomocą korby, czyli rączki, a kółko to zaś wraz z korbą jest przymocowane do saméj skrzynki żelaznéj. Przez środek rury, przez otwór skrzynki, przez żeberka czyli szprychy kółka i przez otwór okrągły w przykryciu studni przeprowadzony jest łańcuch, związany w obu końcach, na podobieństwo sznura u kołowrotka. Na łańcuchu tym są niby paciorki w różańcu, znajdujące się w pewnéj zawsze odległości od siebie, jak to widać z rysunku. Paciorki te są téj saméj wielkości co i otwór w rurze żelaznéj, tak że gdy wejdą w rurę, to ją zamykają dosyć szczelnie.



Pompa łańcuchowa.

Kiedy się zacznie obracać korbą, wtedy ów łańcuch ciągle się przesuwa przez rurę, aprzesuwając się pompuje wodę, która wychodzi do skrzyneczki, znajdującéj się na wierzchu rury, a stamtąd spływa rynienką do naczynia podstawionego. A dlaczegóż to woda wchodzi do rury gdy się łańcuch obraca? Oto dla tego, że owe paciorki na łańcuchu, to niby to samo, co walec czyli **trzpin** albo **trzewu** sikawki ręcznéj, a wiemy, że gdy się **trzpin** wyciąga, wtedy woda wchodzi do sikawki, podobnie też gdy taki paciorek wciąga się w rurę, pociąga za sobą wodę, a tym sposobem każdy paciorek wciąga wodę do rury. drugi paciorek ją popycha i znowu wciąga za sobą wodę itd. Tym sposobem odbywa się pompowanie wody.

Długość rury w téj studni zależy od głębokości studni, im stadnia jest dłuższa, tem trzeba większéj rury. We fabryce kupuje się całą pompę z 9 łokci rury, za 35 złr., więcéj zaś rury kosztuje każda stopa 3 złr.; kupić zaś można taką pompę w fabryce Zieleniewskiego w Krakowie.

W. Tumala.

O chorobach bydła rogatego.

5. *Mleko krwawe.* Zdarza się często, że mléko krowy jest z krwią zmięszane przy dojeniu. Niekiedy przyczyną tego jest prędkie dojenie i gwałtowne, wtedy, gdy krowa cierpi na zapalenie wymion. Często

znowu przyczyna leży gdzieindziej. Może niekiedy ta słabość spowodować użycie przez krowę wielkiej liczby podów czyli latorośli dębowych i olszowych, jaskru sawilcu leśnego itp. dla tego należy unikać z bydłem owych roślin.

Jako lekarstwo na krwawienie mléka służy bardzo dobrze puszczeniem krwi od 8 do 10 funtów. Dobrem również jest do wewnętrznego użycia *gryzący* potaż i *proszek szlazowy*, każdego po sześć łutów — i to razem zmięszane daje się bydlęciu w dawkach co 2 godziny po 3 czubate stołowe łyżki. Jeżeli jest zapalenie wymion, wtedy robi się okłady na wymiona z siana i soli rozgotowanych razem — a następnie tem samem odwarem obmywa się wymie. Dobrze jest także wcierać w samo wymie maść złożoną z 2 łutów szlazowej maści, tyleż olejku miętowego i tyleż czarnej merkurjalnej maści, a niezadługo mleko krwawe zamieni się na mleko białe i przyjemne.

6. *Biegunka.* Jestto słabość na którą cierpią najwięcej stare krowy i cielęta. Jeżeli się ona zdarzy przy zmianie paszy, przy zmianie powietrza, zwłaszcza na wiosnę, to jest bardzo dobroczynną, jeżeli zaś trwa parę tygodni, to zbyt osłabia zwierzę, to też wtedy potrzeba się uciec do zaradczych środków.

Dawać wtedy należy następnego proszku chorej krowie dwa lub trzy razy dziennie po 4 łuty w odwarze kory dębowej, gencyjanny, tataraku, tormentilu, po 8 łutów każdego i dwa łuty zielonego witriolu żelaza. Jeżeli jednak choroba ta w swej mocy nie zmniejsza się to oddaje się do powyższego lekarstwa jeden łut opium.

Enemy z odwaru rumianku i kory wierzbowej po 6 łutów użytej polecają się tutaj.

7. *Zaraza pyskowa.* Jestto choroba w mokrych latach zdarzająca się u bydła. Przedstawia się ona jako gorączkowe wysypki pęcherzykowate w pysku i jest pospolicie z wysypką między racicami i na wymieniu złączoną i należy do zaraźliwych chorób. Przy tej chorobie pożywa paszy bydlę bardzo mało, ale za to więcej pije. Przebieg tej choroby najczęściej jednakże bywa łagodny. Do pendzlowania pyska bydlęciu, co się bardzo często używać winno, służy odwar z kory dębowej w ilości dwóch kwart, do którego dodaje się pół funta miodu i 6 łutów kwasu solnego.

Za napój daje się bydlęciu wodę z dodatkiem nieco kwaśnego ciasta, a oile można karmi je się wtedy miękką zieloną paszą. Do leczenia razem z tą słabością złączonej zarazy racic potrzeba zwierzęta bardzo ochraniać od chodzenia. Zaognione racice myją się często w odwarze z kory dębowej w ilości trzech kwart, w których 4 łuty siarkanu miedzi jest rozpuszczonych, a prócz tego należy bydlę na pewien czas w zimną wodę wpędzać. Obora musi być sucha i obficie słomą wysłana.

Złośliwe i ropiące się wrzody opatruje się następującą maścią, której dwa razy na dzień kawałek, jak ziarnko bobu używa się 6 łutów bazyliowej maści, trzy kwintle tynktury mirry, i trzy kwintle czerwonego precipitatu merkuryuszu. Lekarstw tych dostać można w każdej aptece. Ponieważ choroba ta jest zaraźliwą, dla tego też należy co prędzej chore zwierzę od zdrowych odłączyć.

8. *Krwawa uryna* powstaje w skutek cierpień przyrządów urynowych u bydła rogatego. Uryna jest wtedy mniej lub więcej krwią zafarbowana, co w złych razach taka prawie, jak krew, choć bydlę wcale nie okazuje boleści. Gdy ta choroba mocno się rozwinie, wtedy tylna część ciała bydlęcia staje się jakoś sztywną, mléko ginie zupełnie, rogi i uszy stają się ponajwiększej części zimnemi, a przytem spostrzega się zatwardzenie u chorego zwierzęcia.

Dawniej myślano powszechnie, że szkodliwe rośliny, które zwierzę spożywa, wywołują te słabość. Gdy jednak słabość ta zdarza się i wtedy, kiedy bydlę żywi się na stajni, albo na najlepszem pastwisku, nie możemy tego przypuszczać, ale raczej uważać musimy, że jakieś zanieczyszczone powietrze tak źle działa na nerki — iż bydlę zaczyna oddawać krwawą urynę.

Jeżeli ta choroba jest w stopniu nieznacznym, bo należy dwa razy dziennie dawać bydłu polewkę z owsa i siemienia lnianego.

Dobre jest także i lekarstwo takie, które się co 3 godziny zadaje po 2 lub 3 łyżki stołowe, 4 łuty saletry, tyleż korzenia termentylowego, tyleż kory dębowej i 2 łuty węglanu magnezyi, a wszystko to razem należy sproszkować.

Jeżeli te środki nie pomagają, to zadawać następujący środek: co 3 godziny po 2 stołowe czubate łyżki z odwarem z kory dębowej: cukru ołowianego pół łuta, zielonego witryolu żelaza 2 łuty, palonej żołędzi czerwonej glinki, termentylowego korzenia i saletry, wszystkich po 6 łutów. A niezapominać przy tem silnego nacierania skóry i okrywania derą.

Wł. Zagrodnik.

Pisanie do pisarza „Włościanina.“

Szanowny panie Pisarzu! Nieświadomie i nieznajomie i z wielkim zastanowieniem ośmielam się do pana Dobroczyńcy i przyjaciela naszego napisać tę parę słów, ale tego niewiem czy Wielmożny Pan będzie je łaskaw przeczytać i podać do naszych pisemek, w których my się już oddawna tak mile zakochali, że nas żadna inna zabawa, żadna inna uciecha nie zastanowi tak, jak te dwa słowa „Włościanin“ i „Zagroda.“

Jesteśmy nasz miły panie, od was rachując, pięć mil od Krakowa, a mało oświeceni wieśniacy, mieszkamy sobie w dosyć dużej i w pięknem położeniu wiosce, która wygląda, jakby w jakim ogródku napełnionym samemi wierzbami, — bo się też nasi wieśniaczkowie nie cieszą w czem więcej tak. jak we wierzbach, aby mieli czem na wiosnę płoty grodzić. Jest tam i koło domów po parę urodzajnych drzewek, ale zawsze najwięcej wierzb, to też może sobie kto a mądry człowiek i uczony pomyśleć, jak przybędzie do naszej wioski, że tu ludziska się w tem pięknem położeniu bez wszelkiej oświaty i bez wszelkiej umiejętności. Bo co i prawda, to i warto powiedzieć, że tu i nie ma żadnego z tych starszych gospodarzy uczonych, choćby i na książce; to też oni i młodszych, choćby nawet poduczonych niewiele słuchają, bo sobie mówią, że są my starsi przecie na świecie, jak wy, czemu się sprzeciwiać nie można, — ci starzy są głupi — a szkoła tak wiele ich nie cieszy jak to, ażeby swą córkę i swego syna do roli wydać.

Opuszczam to, a wracam się do położenia tej wioski. Przybyć do niej z której strony bądź, zobaczyć można, jak tam po dwóch stronach rozdzielone są domy, a środkiem płynie rzeka, a koło tej rzeki i tą rze-

ką do góry droga jedna prowadzi. Przy rozdzielaniu się tej drogi, czy też schodzeniu się z innemi drogami, zobaczyć można po lewej ręce kościół, a po prawej dwór, a ten dwór i cała wioska nazywa się Jodłownik z dawien dawna, a do dworu należy wiele innych wiosek ale te odpowiedzialne na swych gruntach i swych glebach. I w tym wspaniałym i pięknym dworze nasz dobrodziej, wódz i przewodnik, radzca najlepszy wielmożny dziedzic Kostanty Romer mieszka a każdy może powiedzieć, że jest naszym dobrodziejem, bo oto nam świadczy wielkie dobrodziejstwa, bo się wielce troszczy o nasze dobro, bo wielce zachęca swych włościan, żeby sobie szkołę wyfundowali, i sam się do tego swoim funduszem przyczynia. Lecz to z nieoświeconym ludem, choćby Anioł z nieba przyszedł, to by nie poradził, bo oni zawsze na swoje ciągną; lecz to da Bóg powoli się zmieni, bo ich to wiele cieszy że nasz wielmożny pan dobrodziej nie szczędzi swego grosza wydawać na czytanie dla nas, które nas tak zajmuje, że na niczem tak mile nie przepędzamy chwil czasu, jak na czytaniu moralnem „Włościanina“ i „Zagrody“ a potem książek różnych o krajach różnych, o ludach, a potem „Dzwonka“ a wszystko to tylko dla naszej korzyści nasz W. pan dziedzic utrzymuje i płaci, a nam daje do czytania, z którego to czytania odnosimy wielkie pożytki, bo się tam uczymy pięknych przykładów.

Panie Redakcyi pisarzu dziękuję wam za waszą fatygę i za wasze mozolne prace, nad tem naszem pisemkiem które wydajecie i upiększacie różnymi pięknymi przykładami. Ja tylko bym się chciał dowiedzieć, czy też wszędzie ludkowie nasi Polacy takich W. panów dobrodziejów dziedziców posiadają, jak my, proszę was też panie pisarzu, żebyście też to mogli, jeżeli wam to przeszkodą nie będzie, abyście podali do „Włościanina“ lub „Zagrody“ te moje parę słów. tobym był taki kontent, jakby mnie kto na złotego konia wsadził, żeby to mogli nasi bracia wiedzieć, jakiego my pana dziedzica w Jodłowniku mamy. Daj nam Boże takich panów jak najwięcéj!

Wasz sługa kochany panie pisarzu,

S. S.

Odpowiedź pisarza „Włościanina na list powyższy. Cieszymy się bardzo, że macie tam w Jodłowniku dobrego pana dziedzica, — jestto największem szczęściem, kiedy gospodarze i dziedzice wioski żyją ze sobą w zgodzie, przyjaźni i życzliwości. Tylko wtedy, gdy jedni drugim będziemy pomagali, gdy jedni drugich będziemy wspierać radą i czynem, szczęście do nas zawita. Podobnych dziedziców i podobne gromady jak wasza, moglibyśmy wam wskazać nie jedną, ale tego robić nie będziemy — sądzimy i tak, że jeden dobry przykład, już wystarczy naszym czytelnikom do szlachetnych czynów, zgody i miłości pomiędzy dworem a gromadą.

Polecając się waszej pamięci, życzę wam wszystkiego dobrego — wasz brat

Pisarz „Włościanina.“

Co słychać w świecie?

Posiedzenia wspólnych delegacyi w Peszcie już się skończyły, a na ostatniem posiedzeniu uchwalono ustawę skarbową na rok 1873, która ma obowiązywać całą monarchiją austryjacką. Wedle téj ustawy wydatki ogólne państwa na rok przyszły mają wynosić 108,900.000 (sto osiem milijonów, dziewięćset tysięcy złr.) jestto ogromna summa, a podzielona będzie pomiędzy ministerstwa monarchii.

Do najważniejszych wiadomości należy zebranie a raczéj zwołanie sejmów prowincjonalnych Austryi na dzień 5 listopada b. r. Tak więc i sejm lwowski zbierze się 6 listopada i trwać będzie tylko 4 tygodnie, a potem zaraz nastąpi otwarcie rady państwa w Wiedniu. Sejm krajowy lwowski na taki krótki czas jego trwania ma ogromnie wiele do zrobienia, to też należy się naszym pp. posłom, aby się co żywiej wzięli do roboty na owym sejmie, i żeby krótko a węzłowato na sejmie przemawiali o potrzebach tych gmin z których są wydelegowani, albo o potrzebach całego kraju. Należy wprzódy rozważyć wszystko w domu, a na sejmie samą treść opowiedzieć sprawy, a tym sposobem sprawy będą prędzéj przeprowadzane i więcéj ich zostanie uchwalonych. We wszystkich krajach oświeconych tak robią, że posłowie krótko a węzłowato mówią, to też tam spraw niekiedy więcéj w tydzień załatwią, jak u nas przez całą sessyją sejmową. Posłowie nie powinni uważać na żadne powody prywatne i osobiste w swoich wnioskach i głosowaniu, dobro ich gminy i dobro całego narodu, powinno być najgłówniejszym ich celem. Zresztą nic więcéj z Austryi nie słychać. Ale, ale, jeszcze muszę dodać, że ugoda Słowaków z Węgrami dochodzi do skutku, wedle któréj Słowacy będą mieli szkoły w języku ojczystym słowackim, sądy w tymże języku, ma nastąpić zmiana podatków gruntowych, ma być założone więcéj szkół i Słowacy mają wydawać dziennik polityczny w swoim języku.

A czy to tak zawsze było, żeby Węgrzy robili Słowakom pewne ustępstwa na ich korzyść? gdzie tam. Węgrzy, Madziarzy, gnębili do upadłego biednych Słowaków, dopiero teraz ujęli się za niemi górno-węgierscy posłowie, do czego dał pobudkę poseł Józef Kajuch. Zawiązało się nawet koło z posłów górno-węgierskich w Peszcie, które postanowiło bronić spraw słowackich.

Niedawno arcyksiąże Albrecht zwiedzał Dalmacyją, w któréj robił przegląd wojska. Ludność dalmacka, co niedawno robiła powstanie, przyjmowała księcia na każdym kroku z wielkim zapałem, a gmina Metkowie, wręczyła arcyksięciu petycyję, w któréj pomiędzy wielu rzeczami proszono: „Upraszamy najuniżeniej, aby N. Pan nakazał naszemu namiestnikowi baronowi Rodiczowi wziąść ostro w kluby zepsutą i wrogą (nieprzyjazną) naszemu narodowi biurokracyją (urzędy), aby uznanych a świętych praw narodu chorwackiego w Dalmacyi dłużéj nie deptano nogami; aby sądy i administracyja urzędowały z nami w języku chorwackim. Chętnie ofiarujemy krew naszą waszemu najmiłościwszemu królowi i ojczyźnie, ale prosimy, by naszéj landwerze nie narzucano obcego stroju i obcego języka; komenda chorwacka i strój chorwacki podwaja gorliwość każdego landwerzysty.“ Jestto piękna petycyja, to też Niemcy centraliści straszliwie się złoszczą na nią i na naród chorwacki Dalmacyi.

Kierujący pismem: Fr. Ksaw. Martynowski.
Redaktor odpowiedzialny: H. Jordan.

Wydawca S. Jordan. W drukarni W. Korneckiego.